



WIARUS

PISMO DLA ŻOŁNIERZY POLSKICH
WYDAWANE PRZEZ KOMISYĘ WOJSKOWĄ.



Węgrzy o legionach polskich.

Z wybuchem wojny światowej panowało na Węgrzech nadzwyczaj życzliwe i nader sympatyczne usposobienie dla Polski. Węgrzy byli przekonani, że wybiła godzina historyczna, kiedy po obrachunku z odwiecznym wrogiem—zarówno węgrows, jak i polaków—Moskwą, nadejdzie czas wyswobodzenia Polski.

Ten nastrój życzliwy potężnie wzrósł w chwili, kiedy dowiedziano się o konsolidacji stronnictw politycznych w Galicyi i utworzeniu Legionów, uważano bowiem, że w tej tytanicznej walce przeciw wspólnemu wrogowi polacy także muszą brać czynny udział.

Do powstających Legionów chcieli wstępować węgry; rzucono nawet myśl utworzenia osobnego legionu węgierskiego; wkrótce jednak—z powodów niezależnych od nich—węgry musieli myśli tej zaniechać.

Węgrzy wyobrazili sobie, że cały naród polski popieszy zerwać kajdany i wydobyć się z jarzma moskiewskiego. Niestety, było inaczej: niebawem nadeszły wieści, że Warszawa milczy. Wówczas u nas nie chciano poprostu wierzyć, że naród Kościuszki, Dembińskiego, Bema, Langiewicza, Traugutta i tylu gorących patriotów mógł tak zapomnieć o sobie i sympatyzować z ciemniźcielami, którzy w tak straszny sposób prześladowali polaków! Czyż możliwe—mówiono—by polacy tak prędko zapomnieli o cytadeli warszawskiej i katorgach syberyjskich.

Węgrzy byli przekonani, że polacy, jak za czasów Kościuszki, powstania listopadowego i styczniowego, tak i teraz będą walczyć za swoją wolność. Węgrzy nie mogli sobie zdać sprawy z tego, że naród polski, znajdujący się przez sto dwadzieścia lat pod panowaniem rosyjskiem, uległ do pewnego stopnia demoralizującemu wpływowi Moskwy.

Polacy podobni byli do więźnia, który długie lata spędził w ciemnym więzieniu, a kiedy go wypuścili na światło Boże, uciekł z powrotem do więzienia; wielka część społeczeństwa polskiego przyzwyczaiła się do ciemnego i anormalnego życia pod jarzmem rosyjskiem i nie dążyła już do wolności.

Tem większy był czyn tych, którzy mimo nięchęci wielkiej części społeczeństwa wstąpili do Legionów, aby ożywić tradycje Dąbrowskiego i księcia Józefa, aby zadookumentować, że dawna rycerskość polska nie wymarła.

Tym dzielnym młodzieńcom, tym bohaterom zawdzięczają Polacy, że te ujemne wrażenia zmieniły się odrazu, kiedy legiony polskie zjawily się na ziemi węgierskiej i tak świetnie broniły granic Węgier od inwazyi rosyjskiej.

Ci młodzi, niedoświadczeni w boju chłopcy, bohaterstwem swoim, kosztem krwi własnej zdobyli sobie podziw węgrows.

Świetne czyny Legionów zatarły to przygnębiające wrażenie, jakie rozbicie Legionu wschodniego i zachowanie się pewnych sfer polskich zrobiło na Węgrzech.

Zelazna brygada walkami w Karpatach zdobyła sobie na Węgrzech olbrzymią popularność oraz wdzięczność.

Wdzięczność tę wyraziła młodzież węgierska, ofiarowując w dniu 7 grudnia 1914 w Worochcie Zelaznej brygadzie sztandar z następującym adresem:

„Bracia Polacy! Rozdarcie na części, wśród cierpień i prześladowań żywiłście nadzieję, że po dniach łez i smutku przyjdzie dla zbolełych serc Waszych błogosławiony dzień radości.

Przez tyle lat oczekiwaliście z tęsknotą tego jasnego dnia. Wszystko ofiarowaliście na ołtarzu Ojczyzny, popieraliście zawsze słuszną sprawę.

I teraz, kiedy odwieczny Wasz i nasz wróg napadł, Wy znowu w imię świętej idei chwyciliście za broń.

Na brzegach Waszych rzek świecą ognie obozowe, połyskuje broń, grzmia trąbki na szczytach Karpat. Znowu szaleje brudna powódź, a szalejąc, wali się na Was ogromne żoldactwo wschodniego władcy.

W tej zawziętej walce ramię o ramię staczają boje—tak jak w dawnych czasach—Polacy i Węgrzy.

Bracia Polacy! Wam starym—choć młodym co do wieku—bohaterom ślemy hołd!

Przelewaliście krew za Ojczyznę naszą już nieraz, a obecnie, gdy wróg napada na naszą ziemię, bohaterski naród Wasz znowu tworzy Legiony i zmusza wroga, by w pogromie uchodził.

Droga młodzieży, godni naśladowcy Naczelnika Kościuszki, szlachetni bohaterowie! Niesiemy Wam serdeczną miłość, braterski uścisk i gorące podziękowanie.

Dzięki Wam nasze ogniska domowe nie rozpadły się w gruzy, nasze doliny nie wypełniły się jękiem uciekających przed pogonią wroga rodaków. Piersi Wasze powstrzymały najeźdźcę, a wraża siła rozbiła się o Wasze prawice.

Za to przesyłamy Wam wyrazy dozgonnej wdzięczności.

Przyjmijcie od nas poświęconą chorągiew, która niech Was wiedzie do dalszych zwycięstw, a w słusznej walce niech zmartwychwstanie wolność Waszej Drogiej Ojczyzny.

Świta już jutrzienka swobody, budzi się w grotach skalnych mistyczny rycerz i na nowo wznosi się dumnie Wasz sławny ze zwycięstw Biały Orzeł.

Nasza serdecza miłość towarzyszy Wam w heroicznym bojach i z serca życzymy Wam pomyślnego wyniku Waszych ofiar. Przed tron Wszechmocnego z miłością braterską dla Was zanosimy nasze błagalne modły o wolność dla Waszej Ojczyzny.

Oby po górach i dolinach rozległ się radosny hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“!

Cała prasa węgierska jak najsympatyczniej pisała o Legionach i o męstwie z jakim szły do ataku.

Pięknie pisze o tych wspólnych walkach Polaków i Węgrów *Budapesti Hirlep* w artykule p. t. „*Wtargnięcie Rosyan i Legion Polski*“: „Słowa te znane są każdemu Węgrowi, przypominają one rok 1849, kiedy w tychże Karpatach Węgrzy i Legion Polski z Wysockim na czele powstrzymywali najazd moskiewski, niestety nadaremnie. Dziś sprawozdanie Höfera podnosi, że w odparciu Rosyan oddali wielkie usługi Polscy Legioniści. Dziś Węgrzy i Legion Polski odparli w temże miejscu najeźdźców. Należy podnieść tę historyczną chwilę: Węgrzy walczą znów ramię przy ramieniu z Legionem Polskim przeciw Rosyi“.

Pewien oficer węgierski, który walczył razem z Legionami w okolicy Rafajłówki, pisze w dzienniku *Alkotmany* o Legionach: „Odkąd ujrzałem jak walczą i usłyszałem jak mówią, pełen jestem niezmiennej czci dla Legionistów i narodu polskiego. Nie mam w tem żadnego interesu, by ich chwalić, lecz tak dzielnie się sprawują, że pewien niemiecki podpułkownik, gdy mu pod Podgaciami zwrócono uwagę, że na skrzydło trzebaby twardych żołnierzy, odpowiedział: „Niema obawy, na lewem skrzydle mam kompanię z Legionu Polskiego“.

Az Est, pisząc o oswobodzeniu komitatu Maramaros przez drugą brygadę Legionów, donosi: „Z pochwałą należy wspomnieć o oddziałach Polskich Legionów, które walczyły z wielką odwagą i prawdziwą pogardą śmierci: prawie wszędzie Legioniści pierwsi szli do ataku“.

Takimi i podobnemi pochwałami z gazet węgier-

skich dla legionistów kart wiele możnaby zapełnić.

Ale nie tylko prasa węgierska, lecz i politycy węgierscy wysoko cenili tworzenie Legionów i ich bohaterские czyny, uważając, że to jest *najlepsza orientacja* dla Polaków, bo w takich apokaliptycznych czasach dla narodu polskiego grzechem byłoby nie korzystać z momentu dziejowego, który nie prędko powtórzy się. W takich niezwykłych czasach, kiedy ważą się losy narodu, zostać milczącym i nieczynnym świadkiem, byłoby tchórzostwem, niegodnym narodu polskiego, który miał taką świetną przeszłość.

Z czynów Legionów węgry widzieli, że u Polaków nie wymarło uczucie wolności i że chcą walczyć za nią.

Z głosów węgierskich mężów stanu wystarcza tu przytoczyć słowa hr. Andrassy'ego i Apponyi'ego, by stwierdzić, jak wysoko cenili oni czyny Legionów. Oto hr. Andrassy tak się wyraził o nich: „Wspaniały czyn legionowy, ta najrealniejsza z realnych przesłanek—jaką Polacy dla załatwienia sprawy polskiej mogli stworzyć—stanie się wytyczną dla takiego rozwiązania problemu polskiego, który odpowie i dziejowej sprawiedliwości i usprawiedliwionym historycznie życzeniom serc polskich“.

Hr. Apponyi tak się wyraził o znaczeniu bohaterских walk Legionów: „Inwazyja rosyjska, w której unicestwieniu tak wspaniałą rolę odegrały wasze bohaterские Legiony, ukazała nam jasno całe znaczenie Polski, jako przedmurza, broniącego skarbów kulturalnych i cywilizacyjnych Europy przed nawałą, grożącą im wiecznie od strony wschodu“.

I rzeczywiście na tym polega wielka misja historyczna tak Polaków, jak i Węgrów. Od kolebki państwowości waszej i naszej byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa i kultury zachodniej przed nawałą tatarów, Turków i Moskali. Piersi nasze były tym murem, który chronił kulturę i cywilizację europejską przed barbarzyńskim wschodem. Państwa europejskie spokojnie mogły się rozwinąć, bo na kresach kultury zachodniej Polacy i Węgrzy stali jako wierna jej straż.

Sto pięćdziesięcioletnie panowanie tureckie na Węgrzech i dwuwiekowe panowanie moskiewskie w Polsce (bo od roku 1717 stały wojska rosyjskie w Polsce) jakżeż są do siebie podobne!

Niestety, Europa nie umiała ocenić naszych wielkich zasług pod tym względem.

Nie jest przypadkiem, że polacy i węgry niejednokrotnie walczyli razem przeciw nawale moskiewskiej. Za czasów Stefana Batorego walczyli z polakami ramię przy ramieniu dzielne oddziały węgierskie Kaspra Bekesza, Bornemissz'y Vadas'a i innych węgry pod Połockiem i Pskowem przeciw szeregom Iwana Groźnego.

Batory przewidział, że Moskwa będzie najniebezpieczniejszym wrogiem tak polaków, jak i węgry, dlatego chciał wzmocnić Polskę i niedopuszczyć do wzrostu potęgi Moskwy.

W XIX-tym wieku znowu potykają się polacy i węgry we wspólnej walce o byt narodowy, a losy nasze sprawiły, że znowu musieliśmy razem walczyć przeciw moskalom, kiedy w 1849 r. olbrzym północny przekroczył łańcuch Karpat, by zgnieść walczący o wolność naród węgierski.

I wtedy dzielnie się bili legioniści polscy, jak to sam Kossuth przyznał generałowi Dembińskiemu, mówiąc, że walczą jak lwy.

Pamięć generała Bema wiecznie będzie żyć na Węgrzech!

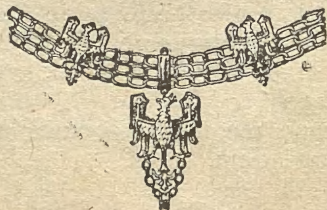
Jego działania wojenne w Siedmiogrodzie, skąd wypędził moskali, jego przyjaźń z największym poetą węgierskim, Petöfim, który był jego adjutantem, zostaną symbolami przyjaźni polsko-węgierskiej.

I otóż historia znowu się powtórzyła, łącząc losy nasze w walce przeciw imperyalizmowi rosyjskiemu, który zniszczył Polskę, zgniebił polaków, złamał ongi powstanie węgierskie i obecnie groził zduszeniem Węgier.

Dlatego też żywiono na Węgrzech tak wielkie sympatyje dla legionistów, widząc w nich współtowarzyszów broni przeciw wspólnemu wrogowi.

Naród węgierski, rycersko myślący, z największym uznaniem i poszanowaniem spogląda na tych, którzy swoją walecznością taką chlubę przynieśli narodowi polskiemu, i na tych, którzy, wiernie trwając przy swych sztandarach, stają się jądrem Wojska Polskiego.

Węgier.



Pierwszy pułk piechoty.

II.

W r. 1787 nad granicami Polski rozpalila się wojna: walczyły tam sprzymierzone ze sobą Rosya i Austria przeciw Turcyi, walczyły z początku bardzo niepomyślnie. Zaczęło być źlej i u nas, bo Rosya mniej się Polską zajmowała, mniej tu rządziła. Do wojny z nią umawiały się ze sobą Prusy i Anglia, skłaniając do niej, do przymierza ze sobą, i Polskę.

Zebrał się wreszcie sejm nasz i na jednym ze swych pierwszych posiedzeń (22. X. 1788) uchwalił powiększyć wojsko z 18000 na 100000. Posłowie nasi zrozumieli wreszcie, że Polska nie może ostać się bez silnego wojska, że jedynie ono zapewni jej sprzymierzeńców w świecie i uchroni od dalszych rozbiorów. Cały kraj pojał czem jest dla niego wojsko, wszyscy poczęli inaczej patrzeć nawet na biednego piechura. Zabiły żywiej serca żołnierskie: nareszcie kraj kończył z tą polityką znoszenia milcząco wszystkich upokorzeń, odwoływał się do siły narodowej, pojał, że żołnierz i jedynie żołnierz jest obrońcą jego wolności i niepodległości.

Zrazu sejm nie myślał o zaprowadzeniu obowiązkowej służby wojskowej. Bano się jej trochę u nas, jak zresztą bano wtedy prawie wszędzie w świecie. Szlachta sądziła, że stutysięczną armię stworzy się przez zaciąg ochotniczy. I nawet tych ochotników dawała ona wojsku bardzo oszczędnie: nie wolno ich było zaciągać po miastach i wsiach szlacheckich, wybierać z pośród gospodarzy osiadłych, ich czeladzi i rzemieślników wiejskich.

W marcu r. 1789 zaczął się ten zaciąg i szedł bardzo energicznie. Werbownicy pułkowi niebardzo liczyli się z przepisami i brali ludzi, gdzie się tylko dało. Często wiali parobków po karczmach, urządzali zabawy z muzyką, a potem dawali do ręki „handgeld”, kładli na głowę kapelusze trójrogaty i, żegnając dawną swobodę, parobczak zamieniał się w „gemajna”. W sierpniu r. 1789 nasz „Regiment królowej”, liczący poprzednio tylko 467 ludzi, dobrał sobie w ten sposób 562 rekrutów i doszedł do liczby 1029 ludzi. Awansowano starych żołnierzy na podoficerów, młodzi oficerowie podostawiali kompanie i zaczęto dawać „porządną szkołę” rekrutom.

Ale i to powiększenie nie wystarczało. Rząd posta-

nowił przecież doprowadzić pułki piechoty do 3 baonów, po 4 kompanie każdy. Każda kompania liczyć miała: 4 oficerów, 11 podoficerów, 5 muzykantów i 176 gemajnow; cały więc pułk musiał dojść do 2152 ludzi. A tymczasem z nowymi ochotnikami było źle. Jedni z nich uciekali prosto z szeregów; innych odbierała szlachta, mówiąc, że ich zabrano wbrew jej woli; inni wreszcie okazywali się słabymi do służby i trzeba ich było odsyłać do domów z „laufpasami“. A tu o zaciąg ochotnika coraz trudniej: parobcy jakby w wodę wpadli, największy wyga werbunkowiec nie chce już iść na zaciąg do wsi.

Czyżby w Polsce nie było już ludzi na żołnierzy? Byli, ale nie chcieli iść z własnej woli, jak to zawsze bywa na świecie.

Zrozumiał to wreszcie sejm. 7 *grudnia 1789 r.* — po wielu wahaniach — zdobył się on na krok stanowczy i zaprowadził w Polsce obowiązkową służbę wojskową. Zaprowadził ją bardzo ostrożnie i w skromnych rozmiarach, ale zaprowadził i to było ogromną jego, niezapomnianą wprost zasługą. Skończyły się nareszcie te czasy, gdy to ludzie z „grzechności“ tylko szli do posługi zbrojnej narodowej, gdy umieszczano w wojsku jedynie „synów marnotrawnych“ i „ludzi luźnych“, t. j. takich ochotników, z którymi sobie na wsi lub w cechach rzemieślniczych po miastach nie można było dać rady. Z każdej wsi królewskiej i duchownej — z 50 dymów władze miały dostarczyć teraz jednego rekruta, a z każdej szlacheckiej ze 100 dymów także jednego. Już to nasi posłowie lubili zawsze podwójną kredką liczyć królowi i duchowieństwu!

Każdy pułk otrzymał swój okręg uzupełniający, terytoryalny, z którego miano brać rekrutów. Nasz „Regiment królowej“ uzupełniał się z województw sieradzkiego i rawskiego i otrzymał stamtąd w r. 1790—565 rekrutów. Byli to ludzie w wieku od 18—35 lat, wzrostu conajmniej 66 cali i zdrowi fizycznie; brano ich na 6—8 lat służby.

I tego jeszcze było zamało. Nasz pułk stworzył teraz 1-y batalion połowy w sile 567 ludzi, złożony z ludzi najsilniejszych i najlepiej wyćwiczonych, resztę wydzielono do batalionu 2-go, który z kolei wydzielił w r. 1792 kadrę na tworzenie trzeciego, do którego dopiero wtedy nadszedł nowy rekrut. Do rzeczywistego utworzenia tych trzech baonów w istocie nie doszło, gdyż zabrakło dla nich broni i ekwipunku.

Zmieniło się pozatem wiele rzeczy w naszym puł-

ku. Piechocie dano wreszcie numery, wycięte na guzikach, i „Regiment królowej“ zamienił się na „Regiment № 1“. Zmieniono także i mundury. Zamiast dawnego niemieckiego koletu czerwonego, dzięki któremu piechurów naszych nazywano „rakami w śmietanie“ (gdyż nosili oni białe kamizele i pludry), ubrano nasz pułk w kurtki granatowe, krojem kawaleryi narodowej zrobione, z wyłogami i kołnierzem pomarańczowymi, oraz guzikami białymi. Dano im spodnie długie, białe, „w buty zachodzące, z polska zrobione“, w istocie mocno niepraktyczne, i zamiast dawnych kamaszy—buty węgierskie. Zniknęły także i kapelusze trójrogate, a zamiast nich pojawiły się „kołpaki okrągłe filcowe“ z blachą, na której wyobrażony był biały orzeł z rozpiętymi skrzydłami. Został tylko niepotrzebnie warokocz pudrowany (harcap), w którym pomyślnie zagnieżdżało się wszelakie robactwo; zato piechurom pozwolono nadal nosić „wąsy pomierne i nieco uczernione“.

W r. 1790 piechota nasza otrzymała wyborne karabiny pruskie nowego modelu; dano jej również narzędzia pionierskie. Nowy jej regulamin był prostszy i łagodniejszy: nie pozwalał on np. karać rekrutów za początkową niezgrabność w musztrze, usuwał wiele ćwiczeń formalistycznych, a wprowadzał dużo potrzebnych do wojny. Za miastami poczęto budować strzelnice i coraz częściej prowadzić do nich żołnierzy na strzelanie ostrymi ładunkami. W niektórych pułkach (niestety, nie było między nimi naszego) potworzono osobne kompanie strzeleckie do walki w szyku rozproszonym, będącym wówczas wielką nowością. Wyborny regulamin dla tych strzelców ułożył gen. Tadeusz Kościuszko.

D. c. n.

W. Tokarz.

Co każdy żołnierz powinien wiedzieć o karabinie maszynowym.

Ogień KM i jego rodzaje.

KM może—tak samo, jak i karabin ręczny—oddawać strzały pojedynczo. Taki ogień nosi nazwę ognia pojedynczego. Stosuje się go rzadko i tylko wtedy, gdy nie chcemy przedwcześnie zdradzić stanowiska KM. Prócz tego istnieją jeszcze dwa rodzaje ognia: ogień seryami i ogień ciągły.

Ogień seryami stosuje się tylko przy wstrzeliwaniu się, gdy chcemy określić odległość do celu. Celowniczy oddaje do wskazanego punktu jednorazowo najwyżej 50 strzałów. K.M. jest wtedy unieruchomiony przez zamknięcie obu rygli—górnego i dolnego—wskutek czego nie może odchyłać się ani na boki, ani w dół lub w górę, przez co wiązka tej seryi strzałów skupioną jest na małej przestrzeni i daje się łatwo rozróżnić i szybko zauważyć obserwującemu karabinowemu. O ile obserwacja nie daje żadnych wyników, zarządza się ponownie następną seryę po 50 strzałów dotąd, dopóki celu nie uchwyci się dokładnie. Wyszkolona obsługa, dbała o oszczędność amunicji, potrafi określić odległość przy wypuszczeniu mniejszej ilości kul.

Ogień ciągły jest ogniem używanym zasadniczo w walce ogniowej K.M. Jest to ogień niszczący. Tutaj oba rygle są otwarte i K.M. może być swobodnie poruszany we wszystkich kierunkach. Kierowany ręką celowniczego po szynie ślizgacza na boki—daje nam t. zw. ogień wszerz, poruszany na dźwigarze kierownicą w górę lub w dół — ogień wgląd.

Skierowany na jeden punkt (t.zw. ogień punktowy) daje nam rozrzut nieco większy, niżli przy ogniu seryami, bowiem, wskutek nieskrępowania K.M. ryglami, karabin znacznie większym podlega wstrząśnieniom i drganiom.

Gdy porównamy skutki strzałów z karabinu ręcznego i maszynowego, wtedy dopiero dokładnie potrafimy sobie przedstawić tę wielką przewagę ognia K.M. nad karabinem piechoty. Strzelając do pewnego punktu z kilkudziesięciu naprz. karabinów piechoty, otrzymamy stosunkowo wielką wiązkę rozstrzału kul. Jest to wynikiem wielu błędów, jakich często nie da się uniknąć, bowiem ile karabinów, tylu strzelców strzela, z których każdy niemal jakiś błąd popełni, czy to nieprawidłowo celując, czy też nierównomiernie ściągając cyngiel—i t. p. Wreszcie, nawet przy wielkiej uwadze i skrupulatności przy fabrykowaniu broni i amunicji, nie da się uniknąć pewnych różnic i błędów w jej budowie i wyrobie: każdy niemal karabin strzelać będzie inaczej. Przy karabinie maszynowym zaś rzecz ma się inaczej: tutaj strzela tylko jeden strzelec, który nie może zrobić tylu błędów, co kilkudziesięciu, strzela wreszcie z jednego karabinu i to w dodatku umieszczonego na silnej i silnie opartej w terenie podstawie. Jasną jest tedy rzeczą, że wiązka rozstrzału takiej samej ilości

kul oddanych z KM będzie węższą, niżli w pierwszym wypadku. Różnicę tę przedstawia nam Rys. 1 i 2.



Rys. 1.
Wiązka rozstrzału kul karab. M. 98..



Rys. 2.
Wiązka rozstrzału kul K.M. 08

Jednak pomimo, że spoczywa na podstawie i dwoma ryglami może być jeszcze silniej umocowany, KM podczas strzelania drga i wstrząsa się we wszystkich kierunkach. Gdyby więc celowniczy nie popełnił nawet żadnego błędu, to jednak wiązka rozrzutu kul zawsze jeszcze będzie posiadać dość duże rozmiary.

Przy ogniu wszerek, podczas ostrzeliwania naprz. linii tyralierskiej, równoległej do nas leżącej, układanie się wiązki rozrzutu kul przedstawiać się będzie jak na rys. 3.

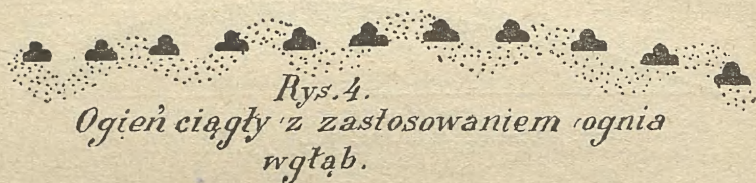


Rys. 3.
Ogień ciągły bez ognia wgłęb.

Widzimy więc, że, pomimo strzelania o jednym i tym samym celowniku i przy prawidłowym cały czas celowaniu, jednak nie cała linia tyralierska będzie pokryta falą ognia wszerek. Wskutek drgania KM linia układających się obok siebie wiązek rozrzutu będzie załamywać się i leżeć to bliżej, to dalej od linii celu, stosownie do drgań KM. Aby osiągnąć równomierne pokrycie celu, trzeba by kilkakrotnie tam i z powrotem ten ogień wszerek prowa-

dzień wzdłuż linii tyralierskiej. Lecz gdyby ta tyralierka leżała nieco ukośnie do nas, lub w t. zw. schodach, wtedy i ten sposób nawet nie pomógłby i równomierności pokrycia celu wiązką rozrzutu nie osiągnął. Aby więc uzyskać całkowity skutek, zachodzi potrzeba zastosowania tutaj rozmyślnego przesuwania wgląd wiązki rozrzutu, co osiągniemy przez jednoczesne stosowanie *ognia wgląd*.

Otrzymujemy go przez poruszanie lufy KM przy pomocy kierownicy w górę i w dół, wskutek czego ta wiązka rozrzutu będzie się przesuwać dalej lub bliżej od jej poprzedniego miejsca układania się. (Rys. 4).



Miarę ognia wgląd określa skala kreskowa, znajdująca się na *tablicy kreskowej*, która jest przymocowaną tuż nad kołem kierownicy. Kreski, znajdujące się na tej tablicy, wskazują celownikowi jak wielki obrót kołem kierownicy ma wykonać, aby otrzymać pożądaną rozsiew kul wgląd na daną odległość. Jedna kreska daje nam 100 metrów rozrzutu wgląd.

Aby ogień ciągły kul był oczywiście skutecznym i niszczącym, trzeba stosować tutaj jednocześnie oba rodzaje ognia: wszerz i wgląd. Umiejętność trafnego stosowania i regulowania wzajemnego stosunku tych rodzajów ognia w ogniu ciągłym jest wielką zaletą celowniczego, a troską dowódcy KM.

Rozmiar ognia wgląd zależy przede wszystkim od rodzaju celu i jego odległości od strzelającego KM, następnie od dokładnego określenia celownika i od tego, jaką jest obserwacja skuteczności ognia — dobrą, czy złą. Jeżeli ostrzeliwuje się cele szerokie a niegłębokie, jak naprz. linie tyralierskie lub linie okopów, wtedy — o ile dokładnie określono wysokość celownika i dobrze można obserwować skutek strzałów — rozmiar ognia wgląd będzie minimalny i wynieść powinien najwyżej $\frac{1}{2}$ kreski, t. j. 50 metrów. Lecz, gdy się nie jest pewnym ścisłego określenia odległości i w dodatku właściwości terenu, lub warunki bojo-

we nie pozwalają, względnie utrudniają obserwowanie,—gdzie i jak padają kule KM—wtedy ogień wgląd musi być zwiększony, aby przez ostrzeliwanie większej powierzchni terenu wyrównać powyższe niedokładności. Tak samo, gdy naprz. pojawi się nagle jakiś ważny cel, który natychmiast należy wziąć pod ogień niszczący*) i niema czasu na wstrzeliwanie się ogniem seryami, gdyż przez ten krótki nawet przeciąg czasu cel już może zniknąć, wtedy stosuje się odrazu większy ogień wgląd, aby wyrównać przez to przypuszczalnie popełniony błąd w nastawieniu celownika.

W takim wypadku wynieść on może nawet 200 metrów i więcej, zależnie od odległości, bowiem im ona jest większą, tem przypuszczalnie i większy błąd popełniono w jej określaniu na oko.

Natomiast przy ostrzeliwaniu celów o frontach wąskich lecz głębokich, jak kolumn wojsk, artylerji lub taborów, to stosować się będzie tutaj odrazu duże kreskowanie, aby kule rozsiać na jak największej długości kolumny.

Jak z powyższego widać, obsługa KM, szczególnie zaś karabinowy i celowniczy, musi odznaczać się zmysłem dużej roztropności, rozwagi i szybkiego oryentowania się w danej sytuacji, aby potrafiła sprostać swym obowiązkom i powierzonemu sobie zadaniu. To też nie jest rzeczą dziwną, że do KM należy wybierać jak najlepszych żołnierzy pod każdym względem.

(D. c. n.)

J. K. Latour.

O koniu.

IV

Wszystko dotąd powiedziane tyczyło się pielęgnacyi i postępowania z koniem zdrowym. Ale żołnierz powinien również wiedzieć, jak ma postąpić, gdy koń zachoruje. Otóż jako zasadę przyjąć trzeba, żeby nie samemu na własną rękę nie czynić i z najmniejszą nawet bagatelką zwracać się zawsze o poradę do lekarza weterynaryi, który zawsze znajduje się przy oddziale wojskowym. Wszak każdy z nas, gdy nawet lekko zachoruje, zaraz udaje się do doktora, rozumując słusznie, że z drobnostki może się rozwinąć cierpienie poważniejsze, jeżeli odrazu umie-

*) Jak sztaby nieprzyjacielskie, KM., grupy wojsk przebiegające przez miejsca odkryte i t. p.

jętnie temu nie zaradzić. Tak samo powinno być i tutaj. Na nieszczęście dużo jest ludzi upartych i zarozumiałych, którym się zdaje, że sami najlepiej wszystkiemu poradzą. To też leczą konia dopóki się da, a gdy już jest bardzo źle, dopiero udają się o pomoc do lekarza, który wtedy już nic poradzić nie może. Aby tego uniknąć o każdym wypadku, nawet bardzo lekkim, np. o drobnych zadrapaniach, skaleczeniach i t. d., zaraz trzeba meldować, aby odrazu usunąć cierpienie, które—z początku niewielkie—może rozwinać się w poważną chorobę. Osobliwie tyczy się to wszelkiego rodzaju ran i skaleczeń. Nigdy nie trzeba dotykać rany, choćby napozór ręce nasze zdawały się czystymi. Na rękach zawsze znajdują się drobnutki robaczki, bakterye tak małe, że widzialne dla oka dopiero po powiększeniu ich 1000 razy za pomocą specjalnych szkieł, zwanych mikroskopem. One to, dostawszy się do rany, powodują ropienie, opuchnięcie, a często nieuleczalne zakażenie krwi. Lekarz, który opatruje rany, nigdy nie dotyka się do niej, nie obmywszy przedtem rąk swoich wodą karbolową lub sublimatem. Jeżeli koń skaleczony, to zanim lekarz przybędzie należy zranione miejsce osłonić od brudu, kurzu i much, które chętnie na ranach siadają, a przez to zanieczyszczają je bakteryami, przeniesionymi na nóżkach z innych miejsc lub ran. W tym celu trzeba postarać się o jakiś czysty płócienny gałganek lub bandaż i, umoczywszy go w przegotowanej, a jeszcze lepiej we wrzącej wodzie, owinać kilkakrotnie zranione miejsce i tak pozostawić do przybycia lekarza. Wody nieprzegotowanej do obmywania ran używać nie można, gdyż zawsze zawiera ona mnóstwo rozmaitych żywych bakteryi. Dopiero po przegotowaniu bakterye pod wpływem gorąca zostają zabite i wtedy nie są już dla zwierzęcia szkodliwe. Porządek meldowania odnosi się wogóle do wszystkich chorób, a pamiętać należy, że im wcześniej będzie dana pomoc choremu, tem łatwiej chorobę uleczyć. Pierwszą czynnością przy wszystkich wogóle chorobach jest niezwłoczne odosobnienie chorego konia od zdrowych. Czyni się to w tym celu, że w pierwszej chwili nigdy nie można być pewnym z jakim rodzajem choroby mamy do czynienia. Są choroby niezaraźliwe, naprz. kolki od przejedzenia, ale są i wysoce zaraźliwe, t. j. takie, które przenoszą się za pomocą niewidzialnych bakteryi bezpośrednio z konia na konia. Jeżeli więc chorego pozostawimy w bliskiej łączności ze zdrowymi, to bardzo łatwo te ostatnie mogą połknąć pewną ilość bakteryi i w ten sposób również zostaną zarażone. Do takich chorób zaraźliwych należą naprz. nosacizna i znane każdemu parchy. Przez odosobnienie chorego nietylko nie tracimy, ale zyskujemy podwójnie, bo usuwamy możliwość zaraże-

nia innych, a choremu dajemy spokój i większą wygodę w osobnej stajni, wskutek czego łatwiejsza jest jego kuracja. Istnieją specjalne przepisy z króciutkim wyszczególnieniem objawów chorób zaraźliwych; prócz tego żołnierze mają jeszcze lepszą sposobność zapoznać się z nimi podczas zbiorowych tygodniowych pogadarek, które lekarze weterynaryi przy wszystkich oddziałach wojsk polskich obecnie specjalnie dla żołnierzy urządzają. Ludzie, którzy mają styczność z chorymi końmi, powinni zawsze zachować jak największą ostrożność i czystość. Jest dużo chorób końskich również zaraźliwych i dla człowieka; niektóre z nich, jak naprz. nosaczna, są nawet i śmiertelne, nieuleczalne. To też, pamiętając o tem, po dotknięciu chorego konia trzeba dokładnie umyć ręce wodą ciepłą z mydłem, a potem opłukać wodą karbolową lub sublimatem. W tym celu środki te zawsze należy mieć w stajni pod ręką. Przy zachowaniu tych ostrożności dotykane konia chorego nie jest niebezpiecznem i obawiać się niema czego. Gdy lekarz weterynaryi chorego konia zbadał i przepisał odpowiednią kurację, trzeba wszystko jak najdokładniej wypełnić, nie a nie nie zmieniać, chociaż napozór zdawałoby się coś niepotrzebnem lub dziwnem. Bywa nieraz, że najmniejsza zmiana lub niedokładne wypełnianie poleconych przepisów bardzo szkodzi, psując odrazu cały plan kuracyi, która się przez to przeciąga, a często zupełnie nie skutkuje. Nigdy też nie trzeba słuchać rad zarozumiałców, których jest dużo wśród ludzi głupich i ciemnych. Zwykle radzą oni nie stosować tego, co przepisał lekarz, a proponują swoją kurację, dowodząc, że tam i tam, w tym a w tym wypadku, to właśnie, a nie tamto—było skuteczne. Ludzie jednak rozsądni pojmują, że organizm koński—zupełnie tak, jak ludzki—to bardzo skomplikowana maszynerya o niezliczonej ilości kółek i kółeczek. Aby dokładnie zbadać i poznać tę maszynę i umieć ją naprawić, gdy się zepsuje, potrzeba długich lat mozolnej nauki i pracy. Lekarz taką naukę posiada i jest jedynie uprawniony do leczenia. Prawo surowo karze tych, którzy, nie będąc lekarzami, zajmują się lecznictwem.

Na zakończenie podaję dziesięć przykazań, które każdy żołnierz obowiązany jest wiedzieć i ściśle do nich stosować się.

1) Powierzonego sobie konia kochać i opiekować się nim, jak swoim najlepszym przyjacielem.

2) Nigdy nie podchodzić do konia z krzykiem lub wymysłami; wchodząc do stajni, przemówić do niego łagodnie, zawołać po imieniu i pogłaskać.

3) Nigdy nie kopać konia nogami i nie bić po głowie. Jeżeli trzeba go ukarać, to zawsze uczynić to możliwie łagodnie

i sprawiedliwie. Koń doskonale czuje, gdy zasłuży na karę, a niesprawiedliwie karany długo pamięta i narowi się.

4) Nigdy nie przeciążać konia pracą, każąc mu wozić lub nosić ciężary ponad jego siły.

5) Zgrzanego konia nie poić i nie karmić; najpierw trzeba mu dać odpocząć, następnie wytrzeć pot słomą i dopiero wtedy nakarmić.

6) Poić konia świeżą, czystą, niezbyt zimną wodą; zimową porą dwa razy dziennie, letnią — częściej.

7) Pilnować, aby pasza była zawsze świeża, niespleśniała i niezepsuta!

8) Czyścić konia dokładnie przynajmniej raz na dzień.

9) Pielęgnować starannie kopyta i codzień sprawdzać stan podków.

10) O wszelkich wypadkach i zasląbnięciach niezwłocznie meldować, w celu udzielania choremu stosownej i szybkiej pomocy lekarskiej.

Józef Malewski, lekarz weterynaryi.

Z teorii i praktyki wojskowej.

Parę słów o telegrafie.

Od najdawniejszych czasów starał się człowiek umożliwić sobie szybkie przesyłanie wiadomości, chodziło przytem głównie o względy wojskowe, to też pierwsze zaczątki telegrafu związane są ściśle z działaniami wojennymi.

Znane z historii są słynne drogi rzymskie do przesyłania gońców z wiadomościami, znane sygnały z dużych dawane odległości za pomocą pochodni przez greków i rzymian.

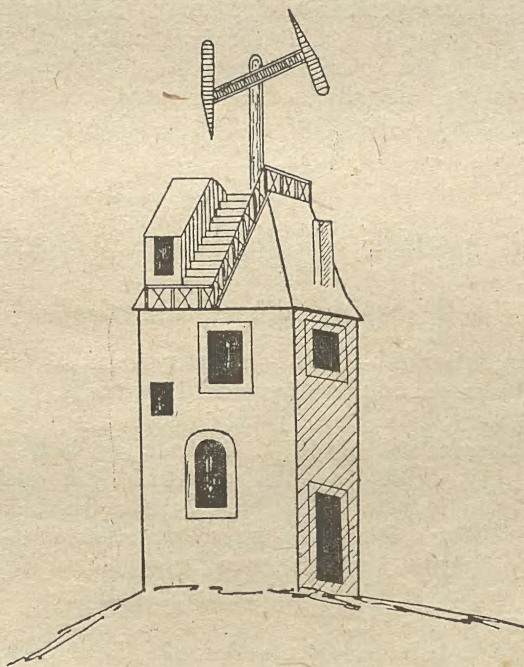
Dopiero po wynalezieniu lunety na przełomie XVI i XVII w. zaczęto wprowadzać telegraf optyczny, stosowany na znacznie szerszych przestrzeniach. Stosowano różne systemy, z których na specjalne wyróżnienie zasługuje pomysł braci *Choppe* z 1794 roku. Zastosowali oni do tego przyrząd bardzo prostej budowy, umieszczany zwykle na kościolach lub też na specjalnie wznoszonych wieżach. Rycina nasza przedstawia taką właśnie wieżę, na szczycie której widzimy trzy deski, kreskowane czarnymi liniami, przypominające skrzydła wiatraka.

Sygnalizacja polegała na odpowiedniem zmienianiu wzajemnego położenia desek, przyczem umawiano się z góry, co każdy układ oznacza i przygotowywano coś w rodzaju alfabetu

telegraficznego, złożonego z 92 umówionych znaków, pozwalających na przesyłanie wiadomości złożonych z 92 słów: w 20 minut na 20 kilometrów, a już w 55 minut na 200 kilometrów.

W celu przyjmowania sygnałów stacja posiadała specjalne lunety, które pozwalały na obserwowanie przyrządu *Choppe'go* z odległości 10—20 kilometrów, zależnie od pogody i oświetlenia naturalnego.

Napoleon stosował całą sieć takich stacji na przestrzeni Paryż-Lille, wynoszącej 240 kilometrów, a nawet Paryż-Lion-Medjolan.



Podczas powstania 31 roku stosowano i u nas taki telegraf pomiędzy Modlinem i Warszawą, t. j. na odległości około 20 klm., prowadząc linię ponad brzegiem Wisły. W Modlinie przyrząd telegraficzny umieszczono na specjalnie wysokim rusztowaniu, w Warszawie zaś na szczycie nowego teatru (Wielkiego). Była to jedyna u nas linia telegraficzna *Choppe'go*, gdyż np. o wkroczeniu Dybicza do Polski sygnalizowano za pomocą znaków ogniowych i historia nigdzie o innym porozumiewaniu się nie wspomina.

Obecny telegraf wynalazł *Samuel Morse* (czyt: Mors) (1835/7 rok); udoskonalił on próby stosowania prądu elektrycznego do przesyłania wiadomości i stworzył alfabet, odpowiadający dzisiejszemu.

W telegrafie elektrycznym nie odgrywają roli warunki atmosferyczne i oświetlenie, tak, że działa on, w przeciwieństwie do telegrafu optycznego, stale.

Dalszy jeszcze postęp stanowi radyotelegraf, czyli telegraf bez drutu, pozwalający na nadzwyczaj szybkie przesyłanie wiadomości po całej kuli ziemskiej i posiadający tę przewagę nad wynalazkiem Morsego, że nie wymaga zaprowadzania sieci przewodników, że wreszcie o wiele prościej można go założyć.

Stosowanie obu rodzajów telegrafu elektrycznego ma obecnie wielkie znaczenie, a sygnalizacja optyczna różnych typów gra jeszcze rolę tylko w lotnictwie, skąd ją także usuwają powoli.

K.

Jak bywało i jak bywa w wojsku.

O gwardyi pieszej koronnej.

Ks. J. Kitowicz — w swoim ciekawym „Opisie obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III” — zajmuje się i sprawą wojska polskiego. Podajemy poniżej jeden z jego opisów, wykazujący dowodnie, do czego to dochodziło w wojsku naszym w czasach, gdy wojsko to w rzeczywistości nic nie miało do roboty i służyło jedynie do parad. Żołnierz nasz demoralizował się wówczas bardzo łatwo, zwłaszcza w takich środowiskach, jak stolica. Nie były to zresztą rzeczy wyjątkowe, gdyż np. podobnej demoralizacji uległy wówczas i francuskie pułki gwardyi, rozmieszczone w Paryżu.

„Gwardya koronna piesza nie miała ludzi dobranych co do wzrostu; przyjmowała każdego, kto tylko chciał służyć, chociażby najmniejszej miary, byle nie chromy, ślepy, kulawy i garbaty. Była to matka powszechna wszystkich kosterów, szulerów, krnąbrnych rodzicom synów, utracyszów, lub jakim ciężkim występkiem do ucieczki przymuszonych, pozatem rozmaitych rzemieślników warszawskich od starszyny cechowej począwszy, dla niezapłaconego cechu wolnego używania rzemiosła niemających. Ktokolwiek z takich oblekł się w gwardyacką suknię, już był wolny od wszelkiej mocy napaści i ścigania. Mieli też między sobą gwardyacy i ludzi zacnych, dla promocyi i wykrzesania od rodziców albo krewnych do tego nowicyatu zarekomendowanych.

Naostatek mieli ludzi przystojnych: hajduków, lokajów, parobków hożych, gdzieś w szynkowni na ustroniu przydybanych, podpojo-nych, kapelusz gwardyacki włożyć sobie na głowę dopuszczają-cych, a po takim przymierzeniu—jakby najuroczystszem słowie danem—bez ceremonii, chcąc nie chcąc, porwanych i do komendy za rekruta stawionych. Gwardya tedy koronna, mająca najwię-cej ludzi hazardownych, na wszelkie przygody śmiałych, przytem w ustawicznem ćwiczeniu się w ręcznej bitwie po trybunałach, komisjach radomskich, zjazdach warszawskich, z rozmaitymi grasantami, szalapeutami i zuchwalcami znajdujaca, była w repu-tacyi najsprawniejszego żołnierza. Jakoż nikt prędzej tumultu, bi-twy i rąbaniny zajuszonej nie uspokoił, jak gwardyacy; ale też żaden inny żołnierz przędzszym nie był do zaczepki, jak gwardyak. Oni się ustawicznie snuli po wszystkich szynkowniach i zgrajach, szukając z kimby zadrzeć, a potem go pobić mogli, nie hamując się wspancznem szczęściem nieraz doświadczonem, ani karą regi-mentową. Najmilszą mieli zabawę z drabantami królewskimi (był to regiment saski konny, z ludzi najpiękniejszej twarzy złożony i wzrostu olbrzymiego). Za tymi drabantami gwardya-cy chodzili jak myśliwi za zwierzem, a gdzie tylko z nimi zwa-rzyli bitwę, regularnie ich porabali, najwięcej po twarzach, ha-niebnie szpecąc pięknych wcale ludzi, przeciętymi nosami, policz-kami, odwalonemi uszami; nie szukając z nich żadnego innego pożytku, tylko sławy, że karłowie zbili olbrzymów. Król hanieb-nie gniewał się o swoich drabantów na oficerów gwardyi i ge-nerała, że nie mogą utrzymać żołnierza, aby mu tej psoty nie wyrządzał. Wołał po kilka razy w tej mierze oficerów sztabo-wych i samego generała, przekładając im swoje z tej okazji do-legliwości, żądając skutecznego onej powściągnięcia. General i oficerowie czynili z siebie, co tylko mogli; karali niemilosier-nie, ile tylko przestępców takowych dociec mogli; nareszcie, gdy wszystko nie pomagało, uradzili, aby gwardyakom odebrać pała-sze, przy których dotąd wszyscy żołnierze tak na powinności, jakoteż extra nie będący chodzili. Lecz był wtenczas zwyczaj, iż żołnierze nie zasadzali bagnatów na flinty, tylko stawając na poście i podczas musztry, a w inne czasy nosili je przy boku nad pałaszem: więc gdy gwardyakom pałasze zostały odebrane, chodzili oni z kijami i kiedy się mieli potykać z drabantami, po-zasadzali bagnety na kije i tak dobrze nimi, albo jeszcze gorzej wycinali pyski drabantom, jak pałaszami; bo drabanty, chłopcy ciężkie i niesprawne do szabli, żadnego układu szermierskiego nie umieli, tylko z góry, aiby cepami, cięli na gwardyaków. Ci zaś, podsadziwszy się układem gładkim i szybkim pod drabów, kiedy ich nacechowali, umknęli.

August król, widząc, iż na każdym zaciągnięciu warty coraz więcej stawa w szyku drabantów oszpeconych paragrafami, nareszcie odesłał ich do Saksonii, a na ich miejsce przyzwał regiment karabinierów, chłopów—tak, jak i drabanci—rosłych, lecz nie tak urodziwych, o których nie był troskliwy i gwardyacy nie mieli na nich takiego apetytu, jak na pierwszych. Jak byli sprawni do korda, tak równie byli sprawni do dawania ognia; wiele razy na nich przypadła ta powinność, zawsze się gracko popisali, bądź w skupionem, bądź w ciągłym ognia dawaniu. Pierwszego ognia często miewali okazje na pogrzebach żołnierskich i oficerskich tak swego regimentu, jakoteż i innych, których bez komendy po swojej potrzebie w Warszawie, Lublinie, Piotrkowie i Radomiu śmierć zabrała. Na pogrzebie prostego żołnierza dawało ognia dwunastu żołnierzy, na unter-oficera dwudziestu czterech, na chorążego i porucznika trzydziestu sześciu, na kapitańskim cała kompania, na sztaboficerskim cały regiment, wyjąwszy tych, którzy byli na powinności. Każdemu nieboszczykowi trzy razy wystrzelono na ementarzu po spuszczeniu trupa w dół, albo do grobu, a potem za głosem komenderującego, pokłękawszy na jedno kolano, zmówiono pacierz za duszę nieboszczyka, jeżeli był katolik, jeżeli zaś był desydent, nie mówiono pacierza, który desydenci za umarłych mają za niepotrzebny. Ceremonią zaś strzelania każdemu, jakiegokolwiek był wiary, oddawano, jako ostatniej służby wojskowej zapłatę. Lecz, jeżeli zginął w jakiej bitwie szalapuckiej, albo w pojedynku, w tym razie nie miał honoru strzelania. Obcym zaś oficerom nie świadczono go, chyba za staraniem i prośbą chowających zmarłego.

Inne okazje do ognia skupionego dawały rozmaite różnych panów uroczystości.

Procesya Bożego Ciała uczczona bywała czasem, ale nie zawsze, ciągłym ogniem gwardyackim albo też skupionym, albo i takim i owakim, kiedy król znajdował się w Warszawie i kiedy chciał widzieć sprawność do ognia i do pałasza. Ten eksperyment odprawiał się na dziedzińcu saskim, po odejściu z niego procesyi misyonarskiej.

Jednego razu widziałem na tym dziedzińcu dawany ogień trzema zawodami oddzielnymi podczas wjazdu na publiczną audyencyę do króla posła tureckiego. Jak tylko kałwakata minęła, szwadrony gwardyackie, czyli bataliony zaczęły palić ciągły swój ogień; czy to było dla honoru posła, czyli dla okazania turkom sprawności żołnierza polskiego—jedno z tego być musiało, a może i oboje.

Mieli także gwardyacy doskonalszy od innych regimentów talent oszukaństwa, kuglarstwa i sztucznej kradzieży: księgę by

niemi zapisał, ktoby wszystkie miał wyszczególnić; dosyć będzie ogółem nadmienić o ich sztukach, że najprzezorniejszy, wdawszy się z gwardyakiem w jaki frymark, został oszukany; kupił niejeden zamiast pasa bogatego—garść konopi albo gałganów w takiejże miąższości w zawinięciu, w jakim pas był pokazany; zamiast zegarka rzepe, zamiast bogatej karabeli kawał drewna krzywego i innych tym podobnych rzeczy. Gdy się zbiegło do jakiego woza, masłem, serem, ptastwem domowem i innymi żywnościami naładowanego, kilku gwardyaków, już się tam sprzedający nigdy towaru nie dorachował, choć żadnego kradnącego nie dostrzegł. Oni wymyślili blaszki ołowiane, monecie kurs natenczas mającej w kraju ze wsystkiem podobne, a do tego moneta krajowa, będąc stara, bo jeszcze za Jana Kazimierza bita, dlatego wcale wytarta, równą gładkość i śliskość, jak blaszki ołowiane, palcom dotykającym sprawowała; z temi tedy blaszkami, rozbiegłszy się gwardyacy po ulicach warszawskich, na przymroczu przechodzącym przedawali różne fanty, pożyczone gdziekolwiek za niską cenę, które takim sposobem prędko sprzedawszy, pieniądze wzięte za rzecz sprzedaną do kieszeni schowawszy, a podobnych blaszek ołowianych równą liczbę w garść nabrawszy, w tropy kupeców doganiali i, udając przed nimi jakoby tkniętych sumieniem z racyi rzeczy kradzionej, którą przedali, i bojaźnią kary stąd pochodzącej, rzecz sprzedaną odbierali, a zamiast pieniędzy za nią wziętych owe blaszki ołowiane oddawali; każdy, kupiwszy jaką rzecz, pogoniony od gwardyaka z pobudki owych skrupułów, frantowską miną za prawdziwie udanych, rzecz nabytą z łatwością oddawał, kontent, że się bez szkody (jak mniemał) wyplątał z grzechu i intrygi z gwardyakiem. Ale, przyszedszy do światła, albo nazajutrz za potrzebą spojrzawszy do worka, postrzegł, że został oszukany. Ta sztuka niedługo trwała, bo przez oszukanych prędko się po Warszawie rozgłosiła.

Dłużej służyły gwardyakom kubki. Była to gra: trzy kubki, jak pół balsamki małe, gwardyak gdziekolwiek na ulicy na stołku wystawiwszy, przerabiał nimi sprawnie, przemykając postawiony na prawej stronie na lewą, z lewej na prawą, średni na bok i tak kilka razy tu i owdzie owe kubki przemykając; pod tymi kubkami była jedna gałeczka mała woskowa, raz tym, drugi raz innym kubkiem przykryta, kto trafił na kubek, pod którym ta gałeczka była, ten wygrał, kto nie trafił, ten przegrał. Lecz gwardyacy mieli taką sprawność w ręku, iż z trudnością było można upatrzeć ową gałeczkę pod którym kubkiem po przerobieniu nimi została, choć czasem gwardyak z umysłu kubkami robił. A gdy już kto pieniądze stawił, w punkcie

gwardyak kubki przemieszał, a zatem grający gałeczki pod podniesionym kubkiem nie znalazł, którą gwardyak natychmiast pod innym kubkiem pokazał i stawione pieniądze ze stołka zgarnął. Żeby mu zaś na grających nie zbywało, tedy z grających jednemu i drugiemu wygrać pozwolił, więcej razy natomiast każdego oszukawszy; umiał bowiem szybko i bez spostrzeżenia gałkę między palce chwytać, iżby pod kubkiem od grającego znaną nie była, i pod drugi podłożyć.

Miewali też takich ludzi namówionych, którzy, grając w te kubki, często wygrywali i innych przechodzących swoim szczęściem obłudnem do gry zachęcali. Tym sposobem gwardyacy oszukiwali bardzo wielu ludzi, mianowicie prostych chłopów i kobiety po sprzedaniu jakiego bydłęcia lub innego towaru wiejskiego, chciwością nabycia więcej pieniędzy do gry zachęconych, także służebne kucharki warszawskie i inne sługi miejskie, jakoteż i dworskie z pieniędzmi po sprawunki posłane.

O co, gdy często zachodziły skargi, surowo tej gry zakazano gwardyakom, lecz nie zaraz i za wielką pilnością zwierzchności zaniechanej, mieli bowiem długo sposób ustrzeżenia się oficerskiego oka przez ustawionych około siebie kamratów, na oficera, skądkolwiekby się pokazał, pilne oko mających; za postrzeżeniem oficera, pilnujący zbliżony do gracza rzekł do niego: „porzuć to bracie, co ci to potem“. Za takim hasłem gwardyak coprędzej porywał kubki i stołek i skrył się do kamienicy lub do domu najbliższego, a skoro oficer minął, znowu ciągnął grę; aż gdy wyszedł rozkaz, żeby takich graczy każdy miał moc z przed swego domu rugować, albo do którejkolwiek najbliższej warty, celem zabierania ich, dawać znać, lub jeżeli przemógł gwardyaka, z pieniędzy i narzędzi grackich obedrzeć, dopiero po takim rygorze gra pomieniona ustala.

Doboszowie gwardyi pieszej i koronnej w dzień Nowego Roku z fajfram i obchodzili panów możliwych tak rycerskiego, jak duchownego stanu, hałasem bębnow swoich i piskiem swoich fajerek wieszając nowego roku, a za to biorąc dukaty, za których nazbieraniem zaczynał im się rok szczęśliwy.

Ci, którzy nie mieli przemyślenia i sumienia do oszukaństwa, w pracy rąk szukali lepszego wyżywienia, niż go mieć mogli z lenunku, półdziewięta grosza miedzianego wynoszącego, z którego jeszcze żołnierz musiał opatrywać glinkę do patronasza, szwarc do wąsów, kamaszów i trzewików, a jeżeli któremu podarł się mundur, albo trzewiki, albo co się zepsuło w moderunku, to wszystko sporządziwszy, kapitan odciągał z traktamentu, bez czego z trudna który obszedł się żołnierz, biorąc na dwa rok i mundur, parę koszul, parę trzewików z kamaszami i parę

podeszew, co jednym przy pracy, drugim przy łotrystwie, nigdy na dwa roki nie wystarczało. Drugi posiłek mieli z najmowania się na wartość jedni za drugich, mianowicie za tych, którzy, będąc rzemieślnikami, żadnej powinności nie odbywali i tylko dla protekcji mundur gwardyacki nosili; tacy obowiązani byli raz w miesiąc prezentować się kapitanowi swemu w mundurze, wziąć od niego urlop od miesiąca do miesiąca podług lustracyi regimentu, stanąć w szeregu osobiście, podczas jakiej wielkiej parady, w innych zaś powinnościach mieć za siebie najemnika, którego jeżeli nie miał, kapitan to potrafił, że się bez niego powinność obeszła; ale żaden z takich rzemieślników co tylko mundur przyjęli, nie brał traktamentu, ani całego moderunku, wszystko to się w kieszeniach kapitańskich zostawało.

Gwardya koronna i litewska, piesza i konna, różniła się od innych regimentów tem, że wszystkie inne regimenta miały mundury gładkie, gwardye zaś burtami włóczkowemi, a oficerowie galonkami złotymi i srebrnymi szamerowane. Burty i galonki żółte miała gwardya koronna piesza, białe gwardya koronna konna i obydwie litewskie.“

Feliks Szukiewicz: Na pograniczu Litwy.

Urywek z pamiętnika.

IV

— Wszystko to bardzo pięknie — zakończyłem szereg pytań — ale powiedzcie mi szczerze, kolego, co was spowodować mogło do porzucenia stanowiska, wiodącego zwykle do wysokich dygnitarstw; co was skłoniło do zamienienia petersburskich salonów na powstańczy obóz, w którym nieraz nie znajdzie i kawałka suchego chleba; do zamienienia towarzystwa ponętnych kobiet na obcowanie z polskim chłopem?

Nienawiść roziskrzyła oczy nieznajomego. Rozchyliły się wargi, ukazując białe, jakby gotowe do kasanja zęby.

— Jestem gruzinem — rzekł — i nazywam się Dadjan, może to wam wytłómaczy.

Uścisnąłem jego rękę.

— Wybaczcie, że dotknąłem bolesnej rany, ale dotknąć musiałem. Dadjan... Czy nie z tego książęcego rodu, który za swój patriotyzm tyle wycierpiał?

— Rozstrzelany w Tyflisie Emil Dadjan był moim ojcem — odpowiedział zdławionym głosem. — Posłuchajcie... W czasie

śmierci ojca byłem małym dzieckiem. Porwali, wywieźli do Petersburga, zrobili prawosławnym. Nauczyli w carze widzieć ziemskiego boga, a w każdym powstającym przeciwko niemu—zdrajcę i zbrodniarza. Co do mojej ojczyzny, moich rodaków, mojego rodu pozostawiono mnie w zupełnej nieświadomości. Stawiano mi przed oczami karierę, olśniewano łaską carską, słowem uczyniono wszystko, żeby zdławić w zarodku najłżejszy objaw szlachetniejszych porywów. Z przebiegłością pracowano nad tem, żeby zrobić ze mnie słuźalca carskiej woli, żeby przygotować sobie posłuszne narzędzie do gnębienia własnych braci.

Tu przerwał, odetchnął głęboko, jak gdyby mu ciężar z piersi spadł i, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem, ciągnął dalej:

— Nie udało im się to w zupełności... Nie udało się gasicielom uczuć ludzkich zdławić tlejącej gdzieś w najtajniejszym zakątku mojej duszy iskierki, odziedziczonej po ojcach miłości ojczyzny i wolności. Awansowany na oficera, zażądałem urlopu dla poznania rodzinnego kraju i, o cudo, dostałem go; śnać uważano mnie za dość wytresowanego lokaja, ażeby się obawiać jakiej we mnie zmiany...

Wy nie znacie Kaukazu, jego śniegami pokrytych gór, rwących rzek, jego zielonych dąbrów i kobierców kwiecistych łąk. Dla was może być niezrozumiałą gorycz budzącej się świadomości, że ten przepiękny kraj, ta ziemia ojców została skalana jadowitem technieniem polipa, wyciągającego śmierć niosące macki, i że ja sam przeobrazić się mogłem w jeden z tych macków. Męczeństwo Polski jest straszne, lecz wy wiecie przynajmniej, że jesteście narodem, że chwila ta przyjsć musi—może już nadeszła — kiedy zdepczecie swoje kajdany i zajaśniejecie blaskiem może silniejszym, może czystszy, bo wolnym od prywaty i warcholstwa. A czemuż jest dziś Gruzya? Niczem. Jej niema. Gruzya, to nazwa geograficzna, to parę kartek w historii, to temat dla poetów, opiewających wdzięki gruzinek i smutne losy ostatnich bojowników za wolność.

Oddychał ciężko, oparłszy głowę o ścianę chaty. Milezałem, oczekując końca opowieści.

— Stary sługa naszego domu, dowiedziawszy się z gazet o moim przyjeździe, odszukał mnie, przypadł do moich kolan, całował ręce, twarz, włosy. Starzec, szlochając jak dziecko, opowiedział historję i koniec mojego rodu. Ojca za udział w spisku rozstrzelano. Matka ze zgryzoty wkrótce potem zmarła. Dzicz tatarska, podbechtana przez miejscowego kacyka, moskała, zrównała z ziemią naszą dostatnią sadybę, wyrznęła czeladź, a dwie moje siostry... — tu zachłysnął się, jakgdyby łykając łzy — moje siostry sprzedano do haremu. Czy sądzicie, że nie mam do-

statecznych powodów do zemsty nad naszym wspólnym wrogiem? Pragnienie jej przywiodło mnie do was.

— Nie bądźcie na mnie krzywi — odrzekłem — że indagacją moją wywołałem wasze zeznania, co musiało was zboleć. Postąpić tak było moim obowiązkiem. Lecz za to usunęliśmy nasze wątpliwości. Chodźmy do pułkownika...

— Zaczekajcie chwilkę. Muszę wam opowiedzieć czemu udałem się w te strony, a nie inne. Czy nie spotkaliście się w którymkolwiek z tutejszych oddziałów z nazwiskiem Wołka?

— Nie.

— To mój jedyny przyjaciel szkolny, lecz za to przyjaciel serdeczny, litwin. Nazywa się właściwie Bohomolec. W jednym dniu zostaliśmy oficerami. On pojechał do swego pułku piechoty, stojącego załogą w Suwałkach, ja pozostałem w Petersburgu. Długi czas nie miałem o nim żadnych wieści. Parę miesięcy temu, już po moim powrocie z Kaukazu, kiedy postanowienie walki z caratem we mnie dojrzało, otrzymałem od niego list, w którym mnie zawiadamiał, że pod nazwą Wołka bierze udział w powstaniu gdzieś na pograniczu Królestwa i Litwy. Zaklinał mnie na naszą przyjaźń, żebym zrobił tak, jak on, to jest plunął na plugawą zgraję zauszników despoty. Nadzieja spotkania druha zadecydowała mój wybór. Znalazłem się tu. Użyjcie mię jak wypadnie, gotowym na wszystko.

Weszliśmy do izby.

— Panie pułkowniku — rzekłem — zyskaliśmy rekruta nielada. Książę Dadjan był wprowadzie w moskiewskim wojsku oficerem jazdy, ale jako wychowanek szkoły wojskowej zna się i na pieszej służbie. Proszę pana pułkownika o przedstawienie go u Rządu Narodowego do rangi kapitana i stanowiska mego zastępcy.

Andruszkiewicz rad, że sprawa wzięła taki obrót, że nie będzie mieć z nim dalszych korowodów, obiecał uczynić zadość memu przedstawieniu i zamiast przemowy uściśnął silnie przybyszowi rękę.

— Ale jakże ci, mój drogi, na imię? — spytał, tykając go swoim zwyczajem odrazu.

— Michał.

— Pani Michałowo, słyszysz? imiennik twego męża. Dawajże nam tego barszczu, na który mi od rana ciecze ślinka, no i gorzałki, ale tej mojej. Trzeba wypić zdrowie tego ładnego żołnierzyka.

Krótką była ta powitalna uczta: po miseczce barszczu z rązowcem i po kieliszku żytniówki.

— Jakże ci Michasiu smakuje ten chleb powstańczy? — ga-

wędził stary.—Poczekaj, będziesz się oblizywać na wspomnienie o nim, kiedy ci dadzą tylko grochu bez soli i omasty, a do popicia wody z bagienka... No ruszajże sobie... muszę pisać do Warszawy. Tam znowu jakieś waśnie i zmiany. Ja bym z nimi prędko zrobił porządek.

W drodze do obozu oświadczyłem memu nowemu koledze, że teraz swój tytuł książęcy musi schować do kieszeni.

— W naszych oddziałach—rzekłem—niema miejsca na tytuły, a szczególnie w oddziale, do którego już należycie, złożonym z samych prawie chłopów.

— Chciałem wam właśnie to samo powiedzieć.

— Czy gminna nazwa „Ładyga” przypada wam do gustu?

— Ależ najzupełniej.

— A więc, kapitanie Ładyga, baczność, bo zbliżamy się do obozu.

Rzeczywiście po chwili zaczął dolatywać gwar rozmów i urywane nuty jakiejś wiejskiej piosenki.

— Nie bronię dotychczas moim zuchom sprawiania tego małego hałasu, bo moskali w pobliżu niema. Niech się wyszumiają. Przyjdzie im jeszcze nieraz siedzieć cicho, jak mysz pod miotłą.

Wtem na skrócie drożyny ukazała się powstańcza pikietą. W siermiężce, w łapciach, trzymając strzelbę gotową do strzału, stał dziarski chłopiec z wyteżonym w naszą stronę wzrokiem. Poznawszy mnie, zaprezentował broń i po żołniersku przeprowadził nas oczami.

D. c. n.

ŻYCIE ŻOŁNIERSKIE.

Rocznica szkół piechoty.

W niedzielę 1 b. m. krótką uroczystością obchodziły szkoły piechoty rocznicę swego istnienia.

Uroczystość wojskowa zawsze jednaka, więc nabożeństwo, defilada i napozór koniec.

Czy warto więc choć krótką o niej umieszczać wzmiankę?

Warto.

Nie ze względu na przebieg uroczystości, lecz jej charakter.

Rok temu, z końcem sierpnia, rzucone ciężką koniecznością, odjechały pułki legionowe do Galicyi.

Zostało nas tutaj niewielu, jako kursy i szkoły.

Zostaliśmy z obowiązkiem, nałożonym przez odjeżdżających kolegów, który brzmiał: „Trwać!”

Na skutek tego trwania, tej szarej garnizonowej pracy czekaliśmy długo, ale widzimy go dzisiaj:

Wskrzyszona I brygada i kilkuset uczniów w szkołach piechoty.

Gdy rok temu liczyły szkoły po 60 uczniów, czy mógł kto przypuszczać, że dziś będziemy ich liczyć na setki, że o 120 podchorążych i tyluż podoficerów wzmocnimy nasze kadry.

Może nie było tej wiary w ludziach patrzących na nas, ale w nas była ona mocna i ożywcza.

Nie był ten rok pierwszy spokojnym rokiem szkolnym, nie płynęła praca zwykłym tokiem.

Pierwsze klasy obydwu szkół wzięły udział w szkoleniu kursów przejściowych i batalionów rekruckich, odkomenderowane niespodziewanym rozkazem.

Wyrwani z toku zajęć uczniowie, którym termin ukończenia szkoły w dal się usuwał, dorabiali się liniową, instruktorską pracą stopnia, który miała im dać szkolna nauka.

Łączyli liniową pracę z nauką w całość tem lepszą, owocniejszą, im żmudniejszą.

Więc pierwsze klasy trwały.

Trwały i następne.

Nie zwracając uwagi na zewnętrzne podszepty, w trudzie codziennych ćwiczeń i szkolnym rygorze dosługiwały się stopni, gdy brakło tego pola do wybiecia się, na którym stawali ich starsi koledzy w pułkach legionowych.

A praca ta nie jest łatwą, gdy się połączy wojskową karność ze szkolnym rygorem.

Mówi napewno i mówić będzie niejeden z byłych uczniów o tych fizycznych i umysłowych wysiłkach z uśmiechem dumy.

Im cięższe przeżycia, z tem większą wspominamy je dumą.

Dzisiejsza rocznica mówi nam, że wytrwałość, ten nieśmiertelny charakter żołnierza polskiego, to trwanie szarych liniowych pułków z pod Grochowa i ich ostatnich następców z pod Polskiej góry i tylu innych pobojoisk — jest niezniszczalne.

Ale, gdy rocznica dzisiejsza z jednej strony napawa nas dumą, jak każde dzieło sprawiedliwą okupione pracą, tak też i żąda od nas jeszcze więcej.

Żąda zwiększenia wysiłków, żąda poświęcenia najlepszych sił tej samej pracy, jako jedynie dobrej i celowej!

Mamy być—jako armia—naszego narodu częścią najlepszą.

Trwanie nasze w dotychczasowym trudzie zrobi nas tą częścią najszlachetniejszą.

Dąbrowski i legiony.

Stanowią temat cyklu 10 odczytów prof. H. Mościckiego, urządzonych staraniem polsk. tow. krajoznawczego we wrześniu i w październiku, w celu uczczenia w ten sposób rocznicy wodza legionów. Odczyty te, ilustrowane przezroczami, odbywać się będą od d. 25 września 3 razy w tygodniu (w poniedziałki, środy i piątki) o g. 8 w. w sali tow. hyg. (Karowa 31).

Z żałobnej karty legionów.

We Włoszczowej w Królestwie Polskiem zmarł w dniu 12 sierpnia r. b. w 28 roku życia Stanisław Abramowicz, b. wachmistrz 2 pułku ułanów polskich, ostatnio pełniący służbę przy głównym urzędzie zaciągowym w Kaliszu. Zmarły brał udział w walkach w Karpatach i pod Kolkami w czasach wielkiej ofensywy rosyjskiej.

Z 1 pułku piechoty.

Jednostajny bieg życia w Ostrowiu przerwany został w połowie lipca pięknym epizodem: był to powrót starych legionowych żołnierzy z obozu łomżyńskiego. Transport w ogólnej ilości 387 żołnierzy wcielony został do 1 pp., jako II batalion, i oddany pod dowództwo kapitana Godziejewskiego. W tym powrocie w szeregach nasze starego wysłużonego żołnierza, który przebrnął krwawe szlaki i ścieżki legionowe, kryło się dla nas—starych towarzyszy—jakieś nieporównane piękno: było to, jakby serdeczne podanie sobie rąk, stwierdzające raz jeszcze tę cudowną spistość oddziałów legionowych, jaką wytworzyła się w ciągu szarych i ciężkich dni służby.

Sformowany w cztery kompanie nowy ten batalion stał się wkrótce chlubą i oczkiem w głowie całego pułku, a do obozu wniósł świeże technienie ochoty i tej beztroski, bez której życie żołnierskie staje się blade, szare, nużące i smutne.

Z batalionu tego główna uwaga należy się kompanii 8, sformowanej z byłych podoficerów legionowych. Kierownictwo powierzono niezmordowanemu w pracy por. Sadowskiemu, który ma nadzieję, że w najbliższym czasie zasili oddziały nasze szeregiem wzorowo wyszkolonych podoficerów.

Moralny wpływ powrotu łomżyniaków uwidocznił się już po paru tygodniach. Obóz ożywił się znacznie — jakby odżył, zaczerpnąwszy w siebie trochę rozmachu wysłużonych wiarusów, których humor nie opuszczał w najgorszych i najcięższych chwilach. Z prawdziwą satysfakcją przyglądać się można odbywającym się co dnia ćwiczeniom łomżyniaków na wysrebrzonych rosą błoniach obozowych. Dwukrotne przeglądy, odbyte przez gen. piech. eks. Bartha i pułk. Minkiewicza, wykazały znakomitą wartość odzyskanego żołnierza, który sprawnością swą i dobrą postawą zyskał sobie zaszczytną wzmiankę w rozkazie I. N. W. dn. 24 sierpnia (zamieszczona w zesz. 26 w „Życiu żołnierskim”).

W ostatnich czasach, dzięki zabiegom ppor. Dąbrowskiego z Komisji Wojskowej, który został przydzielony do obozu ostrowskiego, przystąpiono do ściślejszego zorganizowania pracy oświatowej w 1 pp. Zebrane ponownie dane statystyczne wykazują:

Oddział	Kompletnych analfabetów,	Umiejących słabo czytać i pisać.
I baon	20	38
II baon	5	12
III baoni K.K.M.	23	17
Razem	48	67

Wobec tych wyników zorganizowano 4 komplety: 2 dla analfabetów, 2 dla znających początki. Ogólne kierownictwo nad tymi kompletami, prowadzonymi przez wykwalifikowanych nauczycieli-żołnierzy, powierzono ppor. Wielgutowi. Niezależnie od tych kursów zaprowadzona zostaje w kompaniach systematyczna nauka historii Polski w formie pogadanek, według ustanowionego przez Komisję Wojskową planu.

Rozwijająca się pomyślnie przy pułku biblioteka żołnierska zachęca d-ztwo pułku do zorganizowania, w myśl wskazówek ppor. Dąbrowskiego, t. zw. świetlicy żołnierskiej. Będzie to rodzaj czytelnicy, w której żołnierz znajdzie zawsze świeże pisma, mapy terenów wojennych, a nadewszystko możliwość spędzenia paru godzin wolnych od zajęć w innej atmosferze.

Odpowiednie rozszerzenie zakresu tej zapoczątkowanej pracy oświatowej będzie zadaniem najbliższych dni. Obecnie natrafia się jeszcze ciągle na szereg trudności, z których najpoważniejszą stanowi słaby stan liczebny, który przy normalnej służbie powstrzymuje systematyczny rozwój prac rozpoczętych.

Mamy jednak nadzieję, że w krótkim czasie przynajmniej część tych trudności zniknie.

Ostrów we wrześniu.

Sz.

Z 2 pułku piechoty.

Miesiąc sierpień zakończyliśmy wielkim przeglądem, dokonany przez Inspektora nad wyszkoleniem, ekscelencyę gen. Bartha. Dnia 28 z. mies. o g. 7 rano na placu ćwiczebnym około koszar artyleryjskich, zajętych obecnie przez szkoły podchorążych i podoficerską,

ustawił się 2 p. p., dla małego stanu karabinów w jeden baon uszykowany, wraz z komp. karabinów maszynowych. O g. 7½ przyjechał eks. gen. Barth.

Przeгляд rozpoczął się ćwiczeniami z musztry formalnej—chwytami bronią, krok ćwiczebny, ładowanie i rozładowywanie, klęknięj, padnięj i t. d., a zakończył ćwiczeniem taktycznym.

Pułk otrzymał zadanie mniej więcej tego rodzaju:

Przez linię Narwi przedarły się wojska czerwonych i maszerują w kierunku Ostrowia; z Ostrowia, celem odparcia wojsk czerwonych, występują wojska niebieskie. Spotkanie następuje w Komorowie. Cel zadania: jeden batalion wojsk niebieskich, stanowiący lewe skrzydło linii obronnej, ma zaatakować i rozbić prawe skrzydło wojsk czerwonych. Do ataku idą trzy komp. wraz z komp. karab. maszynowych, stosownie rozdzieloną. Jedna kompania pozostaje w rezerwie do dyspozycji dowództwa.

Przeгляд wypadł naogół dobrze, pomimo prawdziwie jesiennej niepogody.

Ostrów we wrześniu.

K. Wisniewski.

Fałszywe świadectwa szkolne.

W dniu 31.VIII b. r. sąd wojenny Wojsk Polskich rozpatrywał sprawę kadetów szkoły podchorążych w Ostrowiu: Jerzego MARKSA, Stanisława RUDZIŃSKIEGO, Czesława SKRZYPCZAKA, Józefa CZAUUSKIEGO, Franciszka TROJANOWKIEGO, Kazimierza KOSSEK'A i Kazimierza ŚLĄSKOWSKIEGO oskarżonych o fałszerstwo dokumentów szkolnych.

Poza wyżej wymienionymi, pociągnięci zostali do odpowiedzialności sądowej w tej samej sprawie kadeci: Waldemar STELLE, Ryszard MARKS, Jan SMOLEŃSKI i Tadeusz RUŚKIEWICZ, ale ci, po wykryciu fałszerstwa niezwłocznie zbiegli.

Sprawa przedstawia się jak następuje:

Oskarżeni, dla wstąpienia do szkoły podchorążych nie posiadając dostatecznego cenzusu naukowego, przedstawili Inspektoratowi Szkół Piechoty fałszywe świadectwa. Świadectwa te, jak się okazuje z śledztwa, oskarżeni kupowali od osób trzecich, płacąc od 28 do 500 mk. za sztukę.

W ten sposób przedstawili:

- 1) CZAUUSKI—świadectwo z ukończenia 6 klas gimnazjum filologicznego imienia Piotra Skargi w Pultusku.
- 2) KOSSEK — zaświadczenie szkoły handlowej zgromadzenia kupców w Warszawie.
- 3) MARKS Jerzy, MARKS Ryszard i RUDZIŃSKI świadectwa wyższej szkoły realnej w Kaliszu.
- 4) RUŚKIEWICZ — świadectwo 8 klasowej wyższej szkoły realnej T. Sadkowskiego w Warszawie.

5) **SMOLEŃSKI** — świadectwo gimnazjum tow. „Szkoła Średnia“ w Płocku.

6) **SKRZYPCZAK** — cenzurę z 6 klasy specjalnej szkoły Jerzewskiego w Warszawie.

7) **ŚLĄSKOWSKI** — zaświadczenie oraz cenzurę 8 klasowej wyższej szkoły realnej T. Sadkowskiego w Warszawie.

8) **STELLE** — cenzurę z kl. VII-ej II gimnazjum polskiego w Płocku.

9) **TROJANOWSKI** — świadectwo z ukończenia 6 klas szkoły średniej mechaniczno technicznej Fr. Muszkiewicza w Warszawie.

Po rozpoznaniu sprawy i przyznaniu się obwinionych sąd wojenny skazał:

1) **MARKSA** Jerzego na jeden rok więzienia z zaliczeniem 2 miesięcy aresztu przewencyjnego i degradacyę. To samo 2) **RUDZIŃSKIEGO** Stanisława, 3) **SKRZYPCZAKA** Czesława, 4) **TROJANOWSKIEGO** Franciszka i **KOSSEK'A** Kazimierza. 6) **CZAUSKIEGO** Józefa na 4 miesiące więzienia z zaliczeniem aresztu przewencyjnego i degradacyę. 7) **ŚLĄSKOWSKIEGO** Kazimierza na 3 miesiące więzienia z zaliczeniem 2 miesięcy i 3 tygodni aresztu przewencyjnego.

Bronili obwinionych: adw. przys. **ETTINGER**, **RUNDO** i **POPOWSKI**.

Likwidacya departamentu opieki N. K. N.

Z dniem 31 sierpnia b. r. wstrzymuje departament opieki N. K. N. swoje czynności i wypłaty zasiłków dla wdów, sierot i inwalidów, oraz subwencyi dla instytucyi, pozostających pod opieką departamentu opieki. Z dniem 1 b. m. rozpoczyna swą działalność Tow. opieki legionowej (Kraków, Gołębia 20), do którego zechcą zwracać się wszyscy interesowani. Osoby i instytucye, które dotąd korzystały ze stałej pomocy departamentu N. K. N., zechcą w razie nieotrzymania zasiłku zgłaszać swoje reklamacye pisemnie w biurze Tow. opieki legionowej. Składki wpływające na cele opieki legionowej, od 1 września winny wpływać do kasy Tow. opieki legionowej.

SPIS TREŚCI: Węgier: Węgrzy o Legionach Polskich.—W. Tokarz: Pierwszy pułk piechoty.—J. K. Latour: Co każdy żołnierz wiedzieć powinien o karabinie maszynowym.—Józef Malewski: O koniu.—Z teorii i praktyki: Parę słów o telegrafii.—Jak bywało i jak bywa w wojsku: O gwardyi pieszej koronnej.—Feliks Szukiewicz: Na pograniczu Litwy.—Życie żołnierskie: Rocznicą szkół piechoty. Dąbrowski i legioniści. Z żalobnej karty legionów. Z 1 pułku piechoty. Z 2 pułku piechoty. Fałszywe świadectwa szkolne. Likwidacya departamentu opieki N. K. N.

„Wiarus“ Pismo dla żołnierzy polskich, wydawane przez Komisję Wojskową, wychodzi w Warszawie 3 razy miesięcznie: 1-go, 10-go i 20-go. Adres Redakcyi: Komisya Wojskowa, Królewska 35. Adres Administracyi: do 1 grudnia r. b.: Księgarnia W. Jakowickiego, Bracka 23. Skrzynka pocztowa Nr 22. Od dnia 1 grudnia: Komisya Wojskowa, Królewska 35.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową wynosi: miesięcznie 1.20 mk. (1.80 k.), kwartalnie 3 mk. (5 k.), rocznie 12 mk. (20 k.).

Dla wojskowych prenumerata (tylko przez administracyę) zniżona: miesięcznie 60 fen. (90 hal.), kwartalnie 1.50 mk. (2.50 k.), rocznie 6 mk. (10 k.).

Cena pojedynczego zeszytu: 40 fen. (60 hal.), dla wojskowych (tylko w administracyi) 20 fen. (30 hal.).

SPRZEDAŻĄ „WIARUSA i „BELLONY“ ZAJMUJĄ SIĘ

Księgarnie Warszawskie:

M. Arcta, Borkowskiego, Gebethnera i Wolffa, Hoesicka, Idzikowskiego, Lisowskiej, Rzepeckiego, Sadowskiego, Trepte, Tow. Wydawniczego (Mortkowicza), Wendego.

Na prowincyi:

1) w Będzinie — Izaak Kokotek; 2) w Częstochowie — A. Ostrąbek; 3) w Krakowie — Hopcas i Salomonowa; 4) w Kielcach — Marya Kiebaczy; 5) w Lublinie, Zamościu, Kraśniku, Radomiu — Tow. „Rekord“; 6) w Łodzi — „Promień — Piotrkowska 81; 7) w Pabjanicach — Stanisław Grobliński; 8) w Płońsku — Piotr Hujda i Michał Grün. 9) w Rypinie — Zygmunt Milewski; 10) w Sosnowcu — E. Srokosz — Kiosk ul. 3 Maja; 11) w Włoszczowie — Antoni Ozasiński; 12) w Wieluniu — Jan Popławski; 13) w Zgierz — Helena Lach — Kiosk; 14) w Dąbrowie Gór. Tow. „Rekord“ i Schonhoff.

Przedruk artykułów dozwolony
za dokładnem podaniem źródła.

Redaktor Dr. **WACŁAW TOKARZ.**

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.
